Rok 1. № 38. Lublin, dnia 12 Września 1915 r. Cena 20 groszy.

NOWY KURJER LUBELSKI

CENA PRENUMERATY: W Lublinie rocznie 4 rb. — k. kwartalnie 1 „ — „ Z przesyłką pocztową: rocznie 5 rb. — „ kwartalnie 1 „ 25 „ Zmiana adresu poczt. 20 kop.

CENA OGŁOSZEŃ: Jednoszpaltowy wiersz petitem lub jego miejsce nal-ej stronie 25 kop., na 3-ej stronie—15 kop., na 4-ej stronie 10 kop. Drobne ogłoszenia po 2 kop. od wyrazu. Redakcja za treść ogłoszeń nie odpowiada.

Pismo społeczno-polityczne i literackie.

Redakcja i administracja: Zielna 4, m. 12, III piętro, otwarta codzienie od god. 11 — 1 i od 3—6 p.p. Rękopisy nie są zwracane.

TREŚĆ: Nowy Polak.—*Jadwiga Marcinowska.* Po drodze (feljeton).—*Juljusz Kaden Bandrowskl.* Trzy zdania (wiersz).—*Benedykt Hertz.* Stanowisko nauczyciela w szkole polskiej. (Dokończenie).—*Władysław Gacki.* Niebezpieczeństwo prawdy. (Dokończenie).—*Bolesł. Zygm. Lubicz.* Pod adresem p. p. właścicieli sklepów w Lublinie.—*T. O.* Kronika.

Nowy Polak.

Czy wynijdzie on na widownię dziejów—po strasznym zamęcie dni teraźniejszych — ten, którego nam tak potrzeba, nowy Polak? Nie jako wyjątkowy objaw gienjuszu lub bohaterstwa, ale typ narodowy, na którym można opierać budowę przyszłości.

Nie posiadamy w tej chwili typu narodowego, boć chyba zbyt bolesnym i ubliżającym byłoby obejmować tym określeniem ten okaz przejściowy, ten produkt niewolnictwa i anormalnych warunków, który się dziś spotyka.

Bieg naszego pełnego i normalnego życia został przez katastrofę rozbiorów gwałtownie załamany. Unieśliśmy z tego momentu — na długie pasowanie się w nocy, oprócz wielu wad bezsprzecznie ciężkich i groźnych, także dużo jeszcze nie całkiem rozwiniętych dodatnich wartości psychicznych. Bo jesteśmy w historji świata narodem młodym. Kto na nas patrzy nie pod tym kątem widzenia, ale dorywczo i sądzi nas podług neurastenji i degeneracji wyższych warstw społeczeństwa, ten się w ocenie zawsze pomyli. Jako całość jesteśmy narodem młodym i jeszcześmy dotąd w dziejach nie powiedzieli swojego pełnego, twórczego słowa.

Ten młody naród z niedokonaną ewolucją psychiczną został wepchnięty w najpotworniejsze warunki istnienia, o jakich wiedzą dzieje. W ciemnościach długiej podziemnej walki wybłyskiwała zeń od chwili do chwili poprostu nieporównana zdolność do bohaterstwa; spływała w mroki i w mękę nadziemska idea mesjanistyczna, zasię obok niej hodowało się przecież to wszystko, czemu niewola sprzyja. Miewaliśmy tedy orły i płazy.

Z biegiem czasu orłów wciąż ubywało, zaś te, które jeszcze były, coraz boleśniej łamały sobie skrzydła. Wytworzył się też jakiś rodzaj trzeci, stworzeń domowych, ogromnie pracowitych i pożytecznych, dobrowolnie—zrezygnowanych, nie chcących widzieć nic ponad pewien ciasny codzienny krąg. Ale—dla płazów zawsze pozostawało miejsca aż nadto i owszem wzmagała się ich liczba, bo urodzajną jest pod tym względem gleba niewoli.

Dzisiaj jesteśmy chaotycznym zbiorem różnych pierwiastków, cech i skłonności. I to w chwili, kiedy do beznadziejnych wrót więzienia poczyna znowu kołatać wszechmocne życie. W życiu tym będziemy mogli zająć swe miejsce przez odważne rzucenie się naprzód i przez trwały wysiłek.

Któż ten program wykona? Przecież nie Polak z dnia wczorajszego, czasem bohater-spiskowiec, a czasem karjerowicz-odstępca, zaś prawie zawsze i wszędzie—kaleka...

Nowego typu potrzeba. Ten posiadać powinien, czego nam dzisiaj tak przeraźliwie brak.

Przechowaliśmy w sobie tę całą miękkość i połowiczność w czynie, która strąciła nas z dziedzicznego własnego domu do lochu. Okrom tego w niewoli nasiąkliśmy niewiarą w swe siły i zabójczą pokorą w stosunku do każdego, który nas za kark bierze. Potrzeba tutaj rzeczy tak bardzo prostych, a—tak trudnych do osiągnięcia: wiary w siebie i nieugiętości w przeprowadzaniu swoich zamiarów.

Nie łudźmy się, że tym typem naszym okaże się znagła występujący na widownię dziejów naszych chłop polski.

On Ojczyzny nie gubił, jeno w Niej cierpiał i milczał. Trwał pod prądem życiowym. Ale poddaństwo wyrobiło w nim już wówczas —na tle wrodzonej miękkości te same wady, które czynią potomków szlachty zdolnemi —

czasem do bohaterskiej śmierci, lecz prawie nigdy do zwycięstwa w życiu. Chłop, który się teraz w dziejach naszych pojawia i który prawie wszystko rozstrzygnie, jest jeszcze dzisiaj—ze swemi krzepkiemi ramiony, nieskończoną wytrzymałością i zdrową duszą — Bartkiem-Zwycięzcą. Idzie, jak wicher i zabija jak piorun na rozkaz—obcego. Sam ze siebie impulsu jeszcze nie wydobywa. Tkwi w nim dotychczas głęboko fatalne przyzwyczajenie do oglądania się na kogoś, kto przyjdzie, każe i pchnie...

A my w tych klasach rzekomo wyższych zaspakajamy się słowem: lud, lud. I tak się odbywa—polskim oddawna trybem—wymiana oczekiwań...

Tak, bezwątpienia i przedewszystkiem — lud. Więc w pierwszym rzędzie Nowy Polak z ludu. Ale zaraz potym zewsząd, skąd go wydobyć można: z przyszłości i nawet z dnia dzisiejszego...

Zadaniu, które się przed nami otwiera, nie podołamy, mając w psychice narodowej jeno chaotyczną kupę różnych zdolności, ułomności i chęci. Trzeba się z wysiłkiem oczyścić i skrystalizować w typ narodowy. Musimy stwarzać z siebie nowych Polaków podług wymagań chwili, której nie dogonimy.

Powiedziało się tu z umysłu: stwarzać, nie wychowywać. Wyraz wychowywanie nasuwa bowiem zwykle myśl o przyszłości, o pokoleniu, które dopiero ma przyjść do głosu i czynu. Zasię wobec bezwzględnych wymagań momentu historycznego nie sposób jest i nie wolno wszystkiego w przyszłość odsuwać.

Stworzyć oznacza zarówno wychować to, co jutro stanie do walki i pracy, jak i dzisiaj wydobyć z materjału ludzkiego na dzisiejszą potrzebę.

Jakimże ma być ten nowy Polak na miarę zadania Narodu i wymogów chwili dziejowej? Nie wdając się w szczegóły, można krótko powiedzieć, że powinien przedewszystkiem posiadać pewność celu, do którego dąży i niezachwiane poczucie swego prawa.

Nie możemy przerabiać się na wzorach obcych, byłoby to i nonsensem i złudzeniem. A jednakże—przerobić się musimy, to darmo. przetworzyć do niepoznania dzisiejszy wypaczony, chorowity charakter niewolnika-kaleki.

Rzecz nie jest zgoła bez wyjścia. Przerabia się rozpaczliwe, bezsilne usposobienie dzisiejsze, opierając się na zasadniczych, najgłębszych, nigdy nieprzedawnionych pierwiastkach duszy. Nie potrzebujemy uciekać się do Nietzche'ańskiego „Sei hart“, ani do apoteozowania żelaznej pięści, jak to niefortunnie czyniła Narodowa Demokracja.

Zapomnianym w tej chwili, ale na dnie dusz polskich tkwiącym pierwiastkiem, jest właśnie poczucie prawa, zaś kto czuje swe prawo, ten ma rzetelną, długo trwającą siłę. Z tego się wszystko rozwinie. W stwarzaniu nowego Polaka oczywiście największy nacisk kłaść będziemy na wychowanie młodego pokolenia. Największy, lecz nie jedyny. Społeczeństwo polskie oddawna—instynktem szukającym ratunku — całe niemal umiłowanie swoje zamknęło w szkolnictwie narodowym. Była to sprawa powszechnie najdroższa i najboleśniej wciąż zagrażana. Ale po za tak zrozumiałym i słusznym pielęgnowaniem przyszłości tkwiła w tym stosunku pewna cecha ujemna, a mianowicie pochopność do rezygnowania z tego, co, nie czekając na jutro, już z dzisiejszemi siłami dokonaćby potrzeba. W Polsce ostatnich lat pięćdziesięciu ustaliła się aż nadto wyraźnie dążność do spychania odpowiedzialności chociażby na głowy tych, co

---

JULJUSZ KADEN BANDROWSKI.

PO DRODZE.

Idziemy, idziemy—idziemy przez wielkie jeziora młodego słońca na łąkach, przez niebieski szal cienia, którym podpasane są świerkowe lasy, między wsiami, z których wita nas wonność i lekkość i ściele się pod nogi białym puchem kwitnących drzew owocowych.

Owocu, słodki owocu życia!

Idziemy, idziemy, mijając jakieś folwarki na śmierć zaśnięte w zapachu jaśminów i bzów; po całej ziemi, jak okiem sięgnąć leją się złoto-białe, złoto-zielone, złoto-cudne fale młodego zboża. A nad falą zboża płynie fala naszego śpiewu, a w fali zboża i pieśni jednym jedynym nurtem spływa—Ojczyzna.

Owocu, słodki owocu życia!

Z grząskich dróg podnosi się złoty, sypki kurz i tak jest gorąco,—tak uroczyście, jakby to wszystkich walecznych ojców sława i przeszłość na ów proch złoty starta—towarzyszyła synom...

Idziemy, idziemy, mijając żórawie studzienne i płoty plecione odwiecznym chwytem Piasta i wrota szerokie, jak akt pojednania... Na karabinach czeremcha, na czapkach jaśmin, w koszu srebrnej gardy, różowy bez... Idziemy, jak najświeższych, najprostszych kwiatów ziemi powstanie...

Synu jedyny, owocu, słodki owocu życia!.. Znużenie się ku nam z fjoletowych rowów przydrożnych uśmiecha ogromne, skwar mąci oczy i upija...

Nieznana przyszłość skrzy się i błyska na jasnych oddalach horyzontu... Mleko zimne w chropawych kubkach glinianych, — woda w brunatnem drzewie konwi, — młyn taśmy strumienia marszczący, — rozwarte objęcie twardych ramion wiatraka... Na niebie nieustające szczęście pogody, na ziemi niestrudzony krok marszu...

Owocu, słodki owocu życia!

Przyszliśmy na odpoczynek.

po nas i za nas cierpieć będą, na głowy naszych dzieci.

Dzięki powszechnemu prądowi, organizowanie szkolnictwa jest może jedyną rzeczą, w której okazujemy umiejętność nieprzeciętną i z którą nie zwlekamy... W pracach tych jednak, o ile dotyczą one szkół ludowych, czeka nas jeszcze kolosalny trud wychowawczy. Oczywiście w opłakanych warunkach. w jakich obecnie wyrasta dziecko wiejskie, każda niezgorzej prowadzona nauka szkolna już je po części wychowuje, aliści to nie może wystarczyć, jeśli na rzecz patrzymy pod znakiem naglącej konieczności urobienia charakteru. Potrzeba tu będzie nauczycieli, świadomych twórców nowego typu. Potrzeba odmiennych warunków, pozwalających na to, by wychowawca nawet latem, gdy zajęcia w szkole ustają, mógł być w styczności z uczniami.

O ile w Polaku współczesnym najczęściej uwydatnia się w smutny sposób okaleczenie w niewoli, o tyle dziecko polskie jest przecudownym, nieporównanym materjałem, jest pełne żywości i decyzji, której później tak niedostaje...

Cóż jednak zanim dorośnie to pokolenie, które ma przyjść przetworzone? Czas, jak wiadomo, nie czeka. Czyż działający obecnie mają być tylko dożywającym wieku produktem niewoli?

Duch się naprawdę nie starzeje, a przynajmniej nie tak, jak się nam zdaje. Bardzo szkodliwym przesądem jest przekonanie, że człowiek w wieku dojrzałym przerobić się nie może. Pomyślmy, jaka się tu marnuje pokaźna siła i jak się rzecz najpoważniejsza ciągle w przyszłość odsuwa.

Jeśli jest niemożliwym, byśmy w obecnym dojrzałym pokoleniu zdołali się, każdy indywidualnie, przekształcić w nowych Polaków, to prawdopodobnie, a nawet napewno, moglibyśmy w sumie wysiłków pozyskać, aby już teraz poczęła się przejawiać, jako czynnik rozstrzygający, Nowa Polskość Narodu.

Potrzebna jest wola, następnie rewizja dotychczasowego stosunku do życia i odpowiedni, indywidualny sposób wymagań od siebie i kontroli nad sobą.

Prasa i literatura popularna powinny przeważnie zmienić ton i charakter. Naogół biorąc, zbyt długo obnosiły po społeczeństwie liczmany, wychwalały hasła wręcz bałamutne, przytakiwały bierności i cierpiętnictwu. Nowej Polskości potrzeba nowego słowa, któreby było zdecydowane, szczere i proste. Szczególniej literaturę ludową należy przepoić tą ideą wytworzenia nowego, dzielnego i zwycięskiego typu. Szczególniej, nie dlatego by chłop był materjałem bardziej niezdatnym, ale właśnie przeciwnie, ze względu na jego wartość i znaczenie rozstrzygające w wartości narodowej.

Należałoby tu obudzić i wywołać do dźwięku wszystkie struny psychiczne; przywiązanie do ziemi, poczucie swego prawa i siły, godności człowieka, prawdziwy czynnik religijny, t. j. wewnętrzną świadomość własnego nieśmiertelnego ducha...

Nie można poruszyć zagadnienia „Nowej Polskości“, nie dotknąwszy bodaj tutaj, przy końcu, tego wielkiego znaczenia wychowczego, które mają w chwili obecnej Legjony. Tam się już odłamuje i w niepamięć odpada połowiczność i wszelkie wahanie, zaś krzesze się pewność siebie i niewstrzymana, zaciekła wola.

Jadwiga Marcinowska.

Wspaniały jakiś dwór, — teatrum świetności dumy, wielkie fasady szczerbem podarte i obrzucone starym, tłustym barokiem,— związuje na węzeł wielka, wyniosła brama. Nad nią herby dawnych panów, bezpańskie dziś... Nikt nie wie, kto zacz byli i w księgach o nich niema parafjalnych, bo spłonęły i ludzie już nie wiedzą, drzewa zaś ręką magnatów sadzone — nie pamiętają.

Po bokach każdej fasady, niby pięść władna i zaborcza — tęga kopuła, jakby w irchowej rękawicy, kryta blachą, po której miękkim śladem szarości i zgryzoty snuje się śniedź.

Arjanie pono się tu kiedyś zgromadzali. Podobno Arjan jeszcze pamięta chmurny łuk arkad renesansowych, patrzący po drugiej stronie pałacu na gazon i dwa w starym bronzie szuwarów zamknięte stawy.

Bielony, zimny korytarz... W kącie czernieje krzesło jak kleks. Po starych kamieniach dźwięczą ostrogi i skrzypi żwir.

Izby przepyszne, pańskie i prawie puste. W rogu, niby olbrzymia wieża szachowa, piec z gdańskich kafli. W buduarze stare fortepiano.

Na sali recepcyjnej we wielkim karle siedzi Brygadjer Piłsudski, rzekłbyś—dawny, surowy wielmoża, czy gienerał mohortowskich czasów. Przed nim za balaskami pałacu w złocie powietrza i w czarach wiosennej zieleni mija niebieska kolumna i śpiew:

Jeszcze Polska nie zginęła...

A potem—: Niech żyje Piłsudski!!!

W pałacu pełno oficerów, na kamieniach przedsionka chrzęst żwiru i trzask szabel, na balkonie stoją siwe mundury, w izbie jednej i drugiej i dziesiątej dźwięczy głos ostróg...

Zaś w starej alei lipowej...

Słodki owocu życia!..

W starej alei lipowej szum i tchnienie odwieczne i blizkie... Jakby ci, co sto lat temu odeszli i ostatni dźwięk rzucili w fortepiano i meldunek tu przyjęli ostatni,—te gienerały w łosiowych rajtuzach, te oficery w ciężkich epoletach—jakby tu gdzieś zostawili niemylny ślad, za którym idzie srogi i łaskawy Bry-

TRZY ZDANIA.

(BAJKA)

Była raz wymiana zdań:
Czy lepszy mądry, czy też głupi drań.
Ja tam—Piotr mówił—mądrego już wolę,
Jeżeli nawet wywiedzie mnie w pole,
Działa dobrze czy też źle—wiem czego chce.

Też mi pociecha! Jan odrzecze na to—
Czyliż nie lepszy łotr głupi?
Niech wodę czerpie łopatą,
Niechaj własne mienie łupi,
Im mniej postępuje roztropnie,
Tem snadniej celu nie dopnie.

A słuchał tych wywodów trzeci sąsiad Michał;
Słuchał i wzdychał.
Ej, kmotry, rzecze w końcu, dość już, dość tej kłótni
Dobrej dla trutni.
Rozwiązanie jej proste: nie mieć, mojem zdaniem,
Do czynienia tak z mądrym, jak i z głupim draniem.

„Przegląd Wileński". *Benedykt Hertz.*
Maj 1915.

Stanowisko nauczyciela w Szkole Polskiej.

—o—

(Dokończenie.)

Stanowisko nauczyciela w szkole, posiadającej swą radę szkolną, komplikuje się znacznie—na niekorzyść tegoż, choć zdawałoby się, że powinno być wręcz przeciwnie; że rada zabezpieczy nauczycielowi warunki dogodniejsze. Sam jej epitet: opiekuńczy—świadczyłby, że uważa za swe zadanie rozciągnięcia opieki nad tą dziedziną życia szkolnego, co do której nauczycielom wraz z dyrektorem brak kompetencji, że podejmie ona prace, warunkujące byt szkoły, prace, nie mające nic wspólnego z pedagogiką, które z porządku rzeczy winny być usunięte po za nawias obrad fachowo-pedagogicznych, a więc natury gospodarczo-finansowej; że, składając się z elity miasta, zdobędzie się na jasne zrozumienie swego powołania, utrzyma się na stanowisku dobrego opiekuna: spełni swe zadanie w *zakresie właściwej kompetencji.*

Istotnie, w okresie powstawania szkół polskich, o ile w pewnym mieście nie zjawiał się duch opiekuńczy w postaci posiadacza koncesji na szkołę i niezbędnego kapitału, tworzyły się rady opiekuńcze, których zadaniem było zabezpieczanie finansowe szkoły. Niekiedy starały się one o uzyskanie własnej koncesji, co było niełatwe, gdyz rząd utrudniał powstawanie tego typu szkół. Czasami zdażało się, że jeden z członków rady opiekuńczej był posiadaczem koncesji rządowej, piastując jednak inne urzędy społeczne zrzekał się obowiązków dyrektora na korzyść osobnika, zaangażowanego w tym charakterze i płatnego przez szkołę. Stwarzała się w ten sposób najniedogodniejsza sytuacja dla kierownika szkoły, o charakterze ścisłej zależności od rady opiekuńczej. W innych wypadkach rada, nie posiadając ani zbiorowej ani osobistej koncesji, zmuszona była korzystać z już istniejącej i powierzała kierownictwo szkoły ludziom z góry upatrzonym i posiadającym odpowiednie kwalifikacje państwowoprawne. W tym wypadku stanowisko dyrektora było nieco pewniejsze, gdyż kierownik był jednocześnie właścicielem koncesji; mógł w każdej chwili ją cofnąć, zamknąć szkołę,—należało więc z nim się liczyć. W tym wypadku powaga tego stanowiska zależała w znacznym stopniu od osobistych zalet: od stopnia poczucia odpowiedzialności, godności osobistej i samodzielności charakteru.

Zależnie od warunków miejscowych rady opiekuńcze opierały swój wpływ na grupach mieszczańskich lub obywatelsko-ziemiańskich, powstawały więc dwa typy szkół: 1) subsydjowane przez mieszczaństwo, 2) wspierane przez okoliczne obywatelstwo, szkoły t. zw. „ziemiańskie". Czyż wobec tego, ściśle rzecz biorąc, można je uważać za szkoły *społeczne*, w istotnym znaczenin tego wyrazu?

Aliści ta praca w dziedzinie gospodarczo-finansowej trudna, uciążliwa, wobec powszechnego u

---

gadjer, trzcinką trzepiący kurz z butów na wielkim, jak łódź, krześle...

U wrót pałacu mijają wciąż oddziały, zaś u żelaznych krat bramy stoi — ...Nie znamy cię z nazwiska a tak cię dobrze znamy z serca, — stoi siwa pani w leciech podeszłych, czarno ubrana... Rezydentka, czy właścicielka i nie wiadomo już, czy właścicielka tu, czy tylko sługa. Przez łzy zaprasza na poczęstunek, pół płacze, pół śmieje się, błogosławi, ubolewa i zachęca...

Synu jedyny, owocu! Słodki owocu życia...

Miejscowość ta nazywała się Śladków Duży.

Na drugi dzień maszerujemy dalej w nieustającej radości! Nie uciekaj nieprzyjacielu, worki ci popękają po drodze, owies gubisz, złotymi paciorkami owsa ślad swój znaczysz... Idziemy w kwiatach, skrzydłach, głosach, pieśniach, łagodni ludzie... Nie uciekaj nieprzyjacielu, bądźże cierpliwy, — na karabinach czeremcha...

Ha ha ha!!!

Pod wieczór przez tę wszystką nieopowiedzianą i niewyśpiewaną krasę przyszliśmy przed dworek malusi, do agrestu i porzeczek przycupnięty. Krajem wyskubanego klombu zajechaliśmy przed cichą werandę.

We dworze małość i jakowaś pokora wielkiej cierpliwości i głębokiego wytrzymania...

Przyjęły nas dwie panie starsze wiekiem, skrzętne, wystraszone, a mile ceremonjalne. Jedna z nich — ta sama, co wczoraj u żelaznych balasków pałacu niebieską kolumnę piechoty błogosławiąca?..

Ta sama, co na ulicach odzyskanego Pińczowa nagle skrzyżowała ręce? Ta sama czarno ubrana, co gdzieś czeka pod Wilnem na małej stacji kolei w chmurny dzień? Ta sama co zbiera jakąś składkę odwieczną pod gotyckim sklepieniem w krakowskiej ziemi?..

Ta sama, co wczoraj i kilkadziesiąt lat temu, dama siwowłosa pytała każdego z nas o nazwisko.

(d. n.)

nas braku obowiązkowości, mogąca jednak przez to samo wyczerpać całą rozporządzalną energję rad opiekuńczych, zadowolić na długo nie mogły tych „instytucji“: zamykały się one w zbyt ciasnym zakresie, odgraniczały sferę wpływów od ośrodka całego ruchu—od szkoły, nie dawały pożądanej karmi osobistym ambicjom. Należało więc po te wpływy sięgnąć i odpowiednio je utrwalić, a więc uzależnić działalność dyrektora w sferze fachowych jego prac, a przez to samo stać się rzeczywistą zwierzchnością szkoły.

Wpływ rządów moskiewskich w Polsce sięgnął w dusze nasze głębiej, niż się naszym przysięgłym politykomanom wydaje.Czyż jedną z wielu charakterystycznych cech tych rządów nie był brak zaufania nietylko w stosunku do ujarzmionych, bo to aż nadto jest zrozumiałe, lecz wogóle w stosunkach władz, instancji od najwyższej do najniższej—brak wzajemnego zaufania w całej sferze biurokracji rosyjskiej. Bo i jakże tu komu ufać wobec powszechnego łapownictwa, partactwa? Ten brak wzajemnego zaufania dotknął, jak zaraźliwa choroba, nawet te nieliczne dziedziny życia, prawie wyłącznie pozostawione nam samym. Bo jakże możliwie łagodniej, inaczej, jeżeli nie brakiem zaufania, możnaby objaśnić stosunek rad opiekuńczych do dyrektorów szkół? To nie była tylko kontrola, ogólny dozór nad tym, co się dzieje w szkole, ale stałe wchodzenie w zakres kompetencji pedagogicznej dyrektora i rady pedagogicznej, właściwa uzurpacja praw im przynależnych, a to za tym idzie pomniejszanie ich powagi, a więc wyraźna tendencja. aby zająć stanowisko instancji zwierzchniej i ostatecznej.

Nie podlegało kenspiracji, że dyrektor nie decydował osobiście spawy przyjmowania nowych nauczycieli, przedstawiał najczęściej nowych kandydatów, wybór ich zatwierdzała rada opiekuńcza. Bywały wypadki, gdy nauczyciela usuwano ze szkoły na żądanie rady opiekuńczej, która z kolei ulegała wpływom jakiejś przemożnej koterji mało miasteczkowej; najczęściej w grę tu wchodziły wyraźne różnice w sferze przekonań politycznych pomiędzy wpływną koterję a nauczycielem. Niekiedy żądanie usunięcia nauczyciela stawione było tak twardo, że dyrektor nie mógł uratować swym wpływem nawet jednostek pożytecznych dla szkoły. Członkowie niektórych rad opiekuńczych (a bywają niemi, jak doświadczenie wskazuje: adwokaci, lekarze, dyrektorowie instytucji finansowych, weterynarze, aptekarze, ziemianie) odwiedzali wykłady szkolne, zasiadali w komisjach egzaminów ostatecznych, dawali oceny, wreszcie zabierali stateczny głos w obradach na tematy wyłącznie pedagogiczne. Nie było to zasadą, zdarzało się jednak, że rada opiekuńcza, kwestjonując już zapadłą uchwałę rady pedagogicznej, zwoływała ją powtórnie, stawiała zupełnie odmienny wniosek... i ten wniosek przechodził. Przed radą pedagogiczną były dwie drogi: albo ulec albo gremjalnie podać się do dymisji zostać na bruku na dzień jutrzejszy, a może i na dalszą przyszłość.

Niektóre rady szkolne nadawały również ogólny charakter szkołom, narzucając im przymus religijny: kontrolę odbywania spowiedzi i uczęszczania na nabożeństwa niedzielne,—nie stawiając nigdy tych spraw na porządku dziennym obrad pedagogicznych, nie licząc się z tym bynajmniej, jaki pogląd ma na tę sprawę personel nauczycielski danej szkoły—tym mniej troszcząc się o to, jak zapatruje się na tego rodzaju przymus pedagogika współczesna. W tym wypadku rady pedagogiczne istotnie odgrywały rolę smargońskich ministerjów oświecenia!

Usuwając ze szkoły nauczyciela *nieodpowiedniego*, ujawniającego tendencje budzenia w dorastającej młodzieży szerszych zainteresowań treści społecznej politycznej, rada opiekuńcza powoływała się na słuszną zasadę, że szkoła nie miejsce dla polityki.— Podczas gdy sama uprawiała w niej politykę, jeno nieco odmiennego gatunku. Wszak z łona rad opiekuńczych przenikał do szkoły duch lojalizmu politycznego, duch właściwy stronnictwu, z którego kwalifikowała się większość filarów rad opiekuńczych Młodzież sama zmuszona była niekiedy opierać się tym zakusom. Z powodu uroczystości rodziny Romanowych Zarząd jednej z prowincjonalnych szkół otrzymał od Dyrekcji urzędową instrukcję, aby młodzież była obecna na nabożeństwie. Rada opiekuńcza szkoły poleciła dyrektorowi wydać odpowiednie rozporządzenie, ostrzegając, że nieposłuszeństwo grozi zamknięciem szkoły. Młodzież postanowiła nie pójść na nabożeństwo, ów dzień uroczysty przesiedzieć w domu. I... o dziwy! Szkoła nie została zamknięta!

Zasługą również rad opiekuńczych jest to, że zastosowała względem nauczycieli cenzus przekonaniowy, kontrolę prawomyślności politycznej,—rygor do tego stopnia ścisły. że nauczyciel o przekonaniach nieco lewicowych z góry wiedział, że do pewnych szkół nie może składać oferty, nie będzie bowiem przyjęta dla tych właśnie racji.

Czyż posiadając tak znaczne wpływy, rada opiekuńcza nie była istotną zwierzchnością szkoły? Czy słusznie? Należy stwierdzić, że stan rzeczy opierał się na nieporozumieniu, a raczej na gruntownym nierozumieniu zasad racjonalnego szkolnictwa. Niegdyś, bardzo już dawno temu mniemano, że dość jest umieć czytać, aby móc innych uczyć „na książce“: dość jest być dorosłym, aby wychowywać innych i wykształconym, aby kształcić innych. Obecnie zaś już oddawna ustalono, że pedagogika stanowi odrębną dziedzinę: *najrzadszego może talentu* (*przez złożoność niezbędnych tu zalet duchowych*), *wiedzy i umiejętności*. Stosowanie więc względem szkoły wspomnianych praktyk należy potępić, jako znachronizm. Byłoby obsurdem ze strony adwokata poprawianie recept lekarskich, poprawianie aktów rejentalnych przez weterynarza, a wykończanie fraka przez stolarza. W pedagogice rzecz ma się inaczej: tu każdy ma głos, radby nie tylko radzić, ale i decydować. Są dwie dziedziny, podobnie choć nierównie upośledzone pod tym względem: literatura piękna przez swą *pozorną* dostępność umożliwia harce na jej kwietniku wszelkiego rodzaju próżniakom, nieukom, pasożytom, smakoszom,zło,wyrządzane jej w ten sposób, jest względne; pedagogice daje się to bardziej we znaki. Należy pamiętać, że ta uzurpacja kompetencji podagogicznej, te rygory, „cenzusy“, zakusy dotyczą nauczycielstwa, które jest i musi być duszą szkoły,—że hamując jego samodzielność, budzą w tym środowisku niezadowolenie, rozjątrzenie, słuszne, choć niedość energiczne protesty; należy wreszcie pamiętać, że te niefortunne swego rodzaju dziwolągi—„dyrektywy“, uchwały rad opiekuńczych spadają na głowy tych maleńkich, średnich i dorastających wychowanków szkoły.

Omawiając te rzeczy, ma się na względzie ogólny charakter zarządów szkolnych, nie zaś poszczególne miasta lub szkoły, byłoby to bowiem niedość pouczające i zbyt mało interesujące. W dziedzinie dowolności, jaką jest szkoła prywatna, wyjątki są nieuniknione.

Na wytłumaczenie rad opiekuńczych możnaby to powiedzieć (nie powołując się na t. zw. dobrą wolę, gdyż jej cechą jest zdolność wyboru: wyszukania środków najodpowiedniejszych do osiągnięcia maksymum korzyści społecznej), że życie nasze pod zaborem rosyjskim było tak ubogie w treść, dawało tak mało ujścia energji, że zaborczość, nawet zachłanność, wskutek wygórowanych ambicji, ujawniane przez Polaków, zajmujących wybitne stanowiska, była naturalnym wynikiem jarzma, jakiemu ulegało całe społeczeństwo.

Bądź co bądź ta zachłanność rad opiekuńczych paraliżująca lub unicestwiająca wysiłki rad pedago-

gicznych, niezmiernie przeto obniżająca ich powagę —była *co najmniej* wysokim nietaktem: szkoła nie może być ani terenem jakichkolwiek eksperymentów ani popisów z ambicji osobistych.

Stanowisko dyrektora w tego typu szkole było trudne: należało zachować możliwie przyzwoity stosunek z nauczycielami i jednocześnie utrzymać kontakt z radą. Zadanie niełatwe, wykonalne jednak przy odpowiednich zaletach charakteru. A gdy ich brakło, stosunek dyrektora do nauczyciela stawał się nieszczery, niekiedy nawet dwulicowy. Rzecz zrozumiała: jak można było zdecydować szczerze i stanowczo ważniejszą sprawę, dotyczącą szkoły lub nauczyciela, gdy się czuło po za plecami tę wielogłową zwierzchnią instancję, wiecznie radzącą i uchwalającą, której p. dyrektor z zasady nie lubił się narażać. W takich warunkach dyrektor szkoły mógł się stać niekiedy raczej politykiem, dyplomatą, wreszcie „ekwilibrystą“, ale nie był kierownikiem szkoły.

Stanowisko też nauczyciela w tego rodzaju szkołach było niepewne, nasuwające pytanie: czym jest istotnie? Czy nie stał się parobkiem, „godzonym do obowiązku“ z roku na rok przez ludzi, nie mających nic wspólnego ze sprawami, którym nauczyciel poświęcił wiele lat pracy i radby poświęcić całe życie,—w warunkach szkolnictwa pod względem materjalnym chyba najbardziej upośledzonego w całej Europie.

Ten stan niezadowolenia, rozjątrzenia, poczucie jałowości znacznej części wysiłków, braku samodzielności łącznie ze *stałym przepracowaniem umysłowym* — to wszystko skłaniało lepsze jednostki z nauczycielstwa do dezercji.

Odpowiedzialność za taki stan szkoły spada w równej mierze na jej kierowników. Zaborczości rad należało przeciwstawić poczucie własnej odpowiedzialności i godności osobistej. Uległość była tu najmniej wskazana. To nie była sprawa osobista dyrektora szkoły: dotyczyła całego nauczycielstwa, poniżając jego powagę, koszlawiąc charakter szkoły. Bywała karygodna w tych wypadkach, gdy było widocznym, że chodzi tu tylko o intratną posadę. I tu jeszcze raz stwierdzić można tę smutną prawdę naszej teraźniejszości: brak odpowiednich ludzi.

Młodzież jednak sama ratowała rację istnienia szkoły polskiej—pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu, co byt tej szkoły podkopywało. Niezawsze była zadowolona z panującej w niej atmosfery duchowej, z braków istotnych rozumowo nie mogła zdawać sobie sprawy. Czuła jednak całą duszą, że ta szkoła musi istnieć, że sama nie wyrzeknie się jej za nic na świecie, bo ona zapewnia im to minimum swobody duchowej, uczciwości, że ona otwiera im źródła polskości, że obce jej są te formy przemocy, deprawacji duchowej, uprawiane systematycznie przez szkołę moskiewską. I istotnie, młodzież sobą stwierdzała, że jest pomimo wszystko lepsza: uczciwsza, żywsza i bardziej przejęta najżywotniejszemi sprawami naszemi narodowemi. Ale to nie było bynajmniej zasługą metod wychowawczych i naukowych, uprawianych w tej szkole, tym mniej rzecz prosta,—działalności rad opiekuńczych.

Wobec powyższego należy stwierdzić otwarcie, że społeczeństwo polskie nie dorosło do tego, aby utrzymać szkołę prywatną na poziomie jej zadania. W dobie obecnej, w okresie dojrzewania potrzeby gruntownych zmian w całokształcie naszego życia, a więc i w dziedzinie oświecenia publicznego, tuszyć możemy, że formy przeżyte, nieprzydatne, anachronizmy zostaną zastąpione nowemi, odpowiadającemi warunkom i potrzebom historycznej chwili. Naszym obowiązkiem jest przyspieszyć tę pracę odbudowy. Potrzebną nam jest wielka, powszechna, sprawnie działająca machina państwowa, materjalnie zabezpieczona, pełniąca funkcję społeczną oświecania publicznego, t. j. szkoła narodowa, a raczej szkolnictwo narodowe, poddane zwierzchności i kierownictwu instytycji o charakterze wyłącznie pedagogicznym, złożonej z ludzi z odpowiedniemi kwalifikacjami fachowemi. Wtedy dopiero, obok tej szkoły państwowej zajdzie być może potrzeba zakładania szkół prywatnych, (jak to się dzieje w krajach ucywilizowanych) których zadaniem jest przeciwdziałanie szablonowi, zastojowi, rutynie, jakim najczęściej ulegają szkoły państwowe, wtedy szkoła prywatna staje się istotnym źródłem świeżej, twórczej myśli pedagogicznej, wszelkiej inicjatywy, i w następstwie staje się wzorem dla szkoły państwowej.

A pierwsze potrzeby szkoły narodowej są: dużo powietrza i światła, czego nie należy rozumieć, jako wyłączne urzeczywistnienie elementarnych przepisów higjeny szkolnej: należy stworzyć w ścianach tej szkoły odpowiednią atmosferę duchową: szczerości, jasności, pogody, *swobody duchowej, w pedagogicznym tego okreslenia znaczeniu*. Nic nie pomogą samę przez się metody, programy szkolne choćby najlepsze, w kraju tak zaniedbanym pod każdym względem, jak nasz, o ile nie zostaną spełnione te kardynalne warunki natury moralnej. Wychowując młode lepsze pokolenie, musimy jednocześnie nietylko usuwać wpływy stuletniego jarzma, ale również sięgać głębiej do tych nawarstwień psychyki polskiej, leżących od stuleci odłogiem, do tych rdzennych naszych wad, przywar, braków, których dotychczas nie zdołaliśmy odrobić.

Władysław Gacki.

Niebezpieczeństwo prawdy.*)

(Dokończenie.)

W świecie minionym, tym „znanym“, a jednak *nieznanym*, Józef Piłsudski był „orłem w lochu piwnicznym“, Syzyfem, który... „trudowi w Polsce zwrócić kradzioną część i dać imię „usiłował“, tym samym, co i obecnie olbrzymem woli, kroczącym wówczas własnowolnie obraną drogę śród szkieletów fabryk“ — uparcie, niestrudzenie pomimo wielu niepowodzeń zdążającym do jednego i tego samego celu:—do budowy z gliny, piasku i mierzwy ludzkiej świątyni odrodzonego polskiego życia.

„Gość z kresu, co wszystkie kresy łamie i łączy—a prowadziłby naprzód i dalej, w bezkres rozmachu powagi—i zwycięskiego śmiechu, późniejszy twórca polskiej siły zbrojnej“ przyniósł ze sobą z błot i pagórków białoruskich „tajemnicę“, którą podzielił się ze swemi wyznawcami, przedzieżgając ich już tym samym z niewolników w mocarzy. „*Tą prostą ich tajemnicą i słuszną prawdą jest:—że w boju jedynie, przelewie krwi, w doznaniu śmierci, żywy naród ma prawo sięgnąć po sprawiedliwość...*“ tajemnica ta czyni to, że późniejszy „Komendant“ i jego podwładni „*śmieją się z niebezpieczeństwa prawdy*“.

Czemże jednak dla siebie samych, wobec rozwijających się przed nami z błyskawiczną szybkością wstęgi tak doniosłych wypadków i w obliczu chwil przeszłych, jest ta garstka „śmiejących się“ ludzi: „Piłsudczyków“? „Ludzi tych—odpowiada autor—wzięła już na ogromne swe skrzydła Historja i nikt jeszcze nie wie, na wyżynę jakiej zasługi ich poniesie. Teraz stoją w kurzu i dymie, w

---

*) Z powodu najświeższej książki Juljusza Kadena-Bandrowskiego: „PIŁSUDCZYCY“. Oświęcim 1915. Nakładem Naczelnego Komitetu Narodowego.

trzasku, w zgiełku walk, we wszystkich wspaniałościach i w całej grozie wojny... Mogą powiedzieć, że spełnili wielkie przeznaczenie, co więcej że przeznaczenie to odkryli krótkowzrocznym oczom ogółu. Mogą powiedzieć, że towarzyszyło im od zarania poczętego dzieła to wszystko, co towarzyszy trudom bohaterów. Jeślibyśmy żyli w czasie legend, to legenda potężna owionęłaby głowy tych żołnierzy już za ich życia, bowiem istotnie legendarnem jest, czego dokonali".

Szkicuje Kaden sylwetki poszczególnych postaci. Szkicuje „od wewnątrz", bez szerszej perspektywy; znać, że sam jest w środku natłoku tych i że sam jest cząstką wspólnego im wszystkim rzutu. Nie znajdziecie tu, jak rzekliśmy szerszej perspektywy, płaszczów rzuconych na ramiona, odmalowania akcesorjów, tła wreszcie tak niejednokrotnie służącego dla uplastycznienia portretu. Na to Kaden niema czasu. Znajdujemy jednak tu co innego. Jesteśmy, jakby w galeryi rzeźb i pomników. Rzeźby te i pomniki nie czekają, aż my przyjdziemy do nich niby je oglądać, lecz narzucają sie same, przeciągają kolejno, krzesząc iskrę podziwu w najbardziej zaskorupiałem i niewrażliwem sercu. Uderzatu nadewszystko tworzyło temat:—marmur i granit; pierwszy cudowny, biały, połyskliwy, miękką falą niezawodzącego piękna układający się w kontury postaci; drugi:—bardziej szorstki, niemniej jednak tak niezmiernie posłuszny królewskim uderzeniom dłuta. Mimowoli, przedtem nim zwrócimy uwagę na formę—zapytujemy siebie i innych, w zadziwieniu w półzlękłem: Skąd tyle marmuru i granitu w Polsce?... Kaden rzuca nam na to jedno słowo — odpowiedź: „Piłsudczycy". Zaczynamy rozumieć wszystko...

Więc poznajemy ten świat nowy,—nieznany, świat, który drzemał dotąd ukryty, a teraz ujawnił się znagła, świat wysokiej, najprzedniejszej marki marmurów i granitów polskich. Świat od wszystkiego, co widzieliśmy dotąd—od czasów ostatniego powstania odmienny. Zaledwo coś zbliżonego dawały nam rewelacje Andrzeja Struga, Polsce podziemnej, czasów przedwojennych. Coś nawiązującego się poniekąd do świata Katerli, lecz przeciwstawnego światowi Berenta. W dalszy, barwny, niespodziany haft rozwinięte wzory „Kryjaków" i „Wiernej rzeki". Jeśli będziemy określać pokrewieństwo tonów, bardziej zbliżonym byłby tu męski ton i męskie ujęcie Walewskiej. Mówimy tu o temacie. Po przez Andrzeja Struga, łączącego w swej twórczości dwa światy zapoznane: wczorajszy i przedwczorajszy: rok 63, myśl nasza biegnie wstecz, wyszukując wszystkie krwawe drogi, po których chodziło zbrojne w materjalny wykładnik swej wielkiej potęgi—bohaterstwo polskie. Tyle—tyle analogji, a jednak i tyle różnic... O świecie Kadena—o świecie: „Piłsudczyków" możnaby snuć długie, tysiące i jeszcze więcej nocy trwające opowieści. Kaden nie snuje—szkicuje tylko. Otworzył opowieści grube album i na chybił—trafił ukazuje parę naczelnych postaci, parę fragmentów fabuły, parę impresji. Nie wyczerpuje i nie obejmuje przedmiotu. I jest to tu może na razie zbyteczne. Autor uchwycił zasadniczy tembr, walor i wagę tematu. Wydobytym tu został głęboki, dźwięczny, czysty akord, tak znany wszystkim tym, którzy tak, czy inaczej otarli się o świat Kadena.

„Piłsudczycy". Ten tytuł mówi o temacie książki. Kto widział choć jeden szczegół epopei—zrozumie! Kto odczuł nastrój, myśl, Ideę wypadków, inscenizowanych w Polsce przez Polskę, pojmie wszystko i stanie jako adept, jako zwolennik i uczestnik złotej pożogi, w tak cudne kwiaty strojącej karty polskiej historji.

Dla wszystkich innych mają szkice Kadena moc argumentacji. Niewtajemniczeni się wtajemniczą. Nieuobywateleni uobywatelnią się. Którzy nie widzieli dotąd, ujrzą; którzy nie wiedzieli, dowiedzą się. I do tych wszystkich nie rozczuleniem i nie sformułowaniem rzeczy już poznanych, lecz mocnem kołataniem do serc i mózgów, będzie przemawiał Kaden. Aż się oczy otworzą wszystkich!.. A serca... Czy wszystkie?

...I tym—obojętnym tak dalece, że aż zaskorupiałym w cyniźmie występnego milczenia—rzuci Kaden *en passant* ławę słów—uczuć wartkich *„aż się zamyślą myśli niszczyciele"* i *grom* uderzy *z trzaskiem*,
„wiedząc, iż ogień dla bez ognia ludzi,
choćby w krzemieniach spał, w niebie się zbudzi".

Bolesł. Zygm. Lubicz.

Pod adresem p. p. właścicieli sklepów w Lublinie.

Żaden chyba z nauczycieli narodu nie mógł poszczycić się tak świetnemi wynikami szerzonej nauki, jak p. p. Niemojewski, Sadzewicz i tutti quanti. Oto ich pupilek, sklepikarz polski, na którego kabzie,—nie na sumieniu, ani poczuciu obowiązków i godności narodowej—budowano przyszłość Polski, oto ten wzorowy swojski kołtun już od roku zdaje egzamin dojrzałości moralnej i uspołecznienia. Nie pomogły żadne taksy, groźby, obostrzenia, kary, odwoływania się do sumienia obywatelskiego: darł skórę, obdzierał, zarabiając grosz na groszu, znęcał się bezlitośnie nad najuboższą warstwą ludności. Tak zapamiętale wzbogacał swój naród, nabijając własną kabzę.

Ggy mu kazano zdjąć lub zamalować szyldy rosyjskie, żachnął się: „A któż mi to kazać może? Ja za to odpowiadam!" A nuż wrócą? A możeby tak z górki posłuchać: może „tata" już wraca? Może i lepiej by było,—interesy lepsze,—a to grunt! A czy to polskość na tym traci: szyld taki, owaki? W handlu to niema znaczenia....

A i pieniędzy szkoda — na te ciężkie czasy! (Ciężkie?—dla kogo?) Wiele by to kosztowało przemalowanie lub przeróbka szyldów w całym mieście, ho, ho! Lepiej by na biednych te pieniądze oddać. Jaki filantrop! Jak skrzętnie liczy, bo go nie nauczono, że są w życiu rzeczy, których się nie zmienia na brzęczącą monetę. Jednak tych pieniędzy na biednych także przecież nie dał. Ale gdy grzywną zagrożą lub karą, wykona wnet to, czego sam dobrowolnie nie chciał uczynić. I sumienie będzie miał czyste!

I nie przychodzi panu sklepikarzowi na myśl, że w oczach przybyszów, synów wolnego narodu wzbudzić może tylko wstręt i pogardę swym tchórzostwem, brakiem godności: postawą niewolnika, który wrósł w jarzmo, oplwany—i nie śmie nawet nim targnąć.

T. O.

KRONIKA.

—o—

Wykaz ofiar, złożonych W. N. L. od 21 do 31 włącznie.

Na Legjony:

1 rb. od P. Ż.; 3 rb. od Lili, Wandzi i Stasi T.; 10 rb. Bezimiennie (№ kw, 111) 25 rb. od R. T. 10 rb. Bezimiennie (№ kw. 114); 3 rb. 34 k. od Br. Cz.; 2 rb. 50 k. Bezimiennie (№ kw. 120; 5 rb. od L. Z.; 5 rb. od W. D.; 1 rb. od A. S.; Brelok i szpilkę Bezimiennie (№ kw. 130); 100 rb. od I C.; 26 rb. od N. T.; Bransoleta srebrna łańcuszkowa od p. J.;

40 rb, i złota bransoleta Bezimiennie z Chełmszczyzny (№r. kw. 147); 50 rb. od K. R. z Chełmszczyzny; 2 broszki od E. I.; 5 rb. od H. K.; 3 rb. od I. G.; 2 rb. 50 k. od K. K.; 25 rb. od J. K.; 5 rb. od H. K.; 50 rb. od H. K; 50 rb. od M. N.; 5 rb. od R. W.; 3 rb. od Wład.

Na rodziny pozostałe po legjonistach:

67 i pół kop. Bezimiennie (№ kw. 140); 30 k. od R. Z; 1 rb. od K; 1 rb. od W.; 1 rb. od K.; 50 kop. Bezimiennie (№ kw. 158);

Na szpital dla legjonistów:

1 rb. od St. O.; 3 rb. od S. N. zamiast kwiatów na trumnę ś. p. Grzesia Puternickiego; 2 rb. Bezimiennie (№ kw. 127) 15 rb. od Ch.; 1 rb. Bezimiennie (№ kw. 131); 21 rb. Bezimiennie (№ kw. 133); 30 rb. od D ra W.; 1 rb. od B. K. w celu uczczenia pamięci Grzesia P.; 5 rb. Bezimiennie (№ kw. 156); 2 67 i pół. kop. Bezimiennie (№ kw 157); 3 rb. od K. S.; 40 rb. 16 kop. od X. X; 10 rb. od A. R.; 3 rb. 75 kop. od Eug.; 5 rb. od D-ra L.; 5 rb. składka sanitarjuszek; 1 rb. od p. O.; 1 rb. Bezimiennie (№ kw. 182).

Na potrzeby W. N. L.:

6 rb. 2 kop. od p. K.; 3 rb. od C Z.; 3 rb. 5 kop. od Jasia P.; 10 rb. od Jerzyka; 67 kop. znaleziono na ulicy; 3 rb. zamiast na trumnę ś. p. Grzesia rodzina pp. P.; 15 rb. od W. K.; 50 kop. znaleziono na biurku; 10 rb. z Lubartowa; 2 rb. od p. P.; 1 rb. od A. C.; Na konia dla Ułana 3 rb. od Zosi P.

Potrzeby Legjonistów.

Wydział Narodowy Lubelski uprasza ofiarnych lublinian o składanie w Wydziale kołder, kocy dla legjonistów wobec blizkiej jesieni i wogóle wobec nastających chłodów coraz bardziej odczuwa się brak ciepłej odzieży, jako to: ubrania, palt, bielizny i t. p.

Ogłoszenie

MAGISTRATU M. LUBLINA.

Rozkazami Komendantury Etapowej Lubelskiej z dnia 2 i 3-go b. m., w celu zwiększenia dochodów miejskich na pokrycie wydatków, związanych z wprowadzeniem samorządu,—nakazano Magistratowi m. Lublina pobierać w dotychczasowej wysokości akcyzę od drożdży prasowanych, wyrobów tytoniowych, spirytusu (do lekarstw) i tym podobnych przedmiotów, które dotąd opłacały akcyzę; jak również podatki państwowe od mieszkańców miasta, właścicieli nieruchomości, zakładów przemysłowych i handlowych, oraz opłaty od widowisk w teatrach i kinematografach; oprócz tego podwyższyć dziesięciokrotnie podatek miejski kanon, pobierany dotychczas wedle norm z roku 1837.

W myśl tychże rozkazów, wszelkie przywożone do miasta wyroby, które dotąd według praw rosyjskich opłacały akcyzę w fabrykach zamiejscowych, mają ten podatek obecnie wpłacić do kasy miejskiej o ile takowej nie opłaciły.

Podając o tem do wiadomości mieszkańców m. Lublina, nadmieniam, że Komendantura Etapowa zażądała bezwarunkowego posłuszeństwa dla wyżej wymienionych rozkazów.

Prezydent m. Lublina

Edward Kołaczkowski.

m. Lublin, 8 Września 1915 r.

Ogłoszenie

MAGISTRATU MIASTA LUBLINA.

W celu ścisłego wykonania nadanego Magistratowi prawa o pobieraniu na rzecz miasta niektórych dotychczasowych podatków państwowych, Magistrat m. Lublina podaje do wiadomości powszechnej następujące wyjaśnienie:

1. Obliczanie opłat akcyzowych do wszystkich przedmiotów, które opłacały ten podatek, uskuteczniać się będzie i nadal podług norm i przepisów Ustawy akcyzowej rosyjskiej. Do kontrolowania fabrykacyi tych przedmiotów delegowani będą kontrolerzy i rewidenci, upoważnieni przez magistrat.

2. Osoby, wyrabiające gilzy do papierosów (tutki) obowiązane są bezzwłocznie zawiadomić na piśmie Magistrat o istnieniu swoich zakładów z podaniem szczegółowych adresów.

3) **Zabrania się od dnia dzisiejszego:**

a) wypuszczania z fabryk miejscowych—drożdży prasowanych, wyrobów tytuniowych i gilz, nie oklejonych banderolami, ustanowionemi przez Magistrat.

b) sprzedaży w zakładach handlowych, mieszkaniach prywatnych i na ulicy—tychże przedmiotów nie oklejonych dawnemi banderolami rosyjskiemi lub nowemi miejskiemi.

c) sprzedaży wyrobów tytuniowych po cenach wyższych od oznaczonych na etykietach i opakowaniach.

4. Osoby handlujące, o ile posiadałyby wyroby tytuniowe, drożdże, gilzy i zapałki bez banderoli rosyjskich, obowiązane są bezzwłocznie złożyć do Magistratu deklaracje na piśmie o ilości i gatunku posiadanych przedmiotów, w celu nabycia banderoli i wyznaczenia cen sprzedażnych na wyrobach tytuniowych.

5. O nadejściu do m. Lublina wszelkich transportów przedmiotów, od których opłaca się akcyza, handlujący obowiązani są bezwłocznie donosić na piśmie Magistratowi, w celu sprawdzenia, czy z przywiezionych przedmiotów uprzednio opłacono należny podatek.

6) Do wykroczeń przeciwko tym przepisom oraz do wynagrodzenia osób, które wykryją i udowodnią popełniane nadużycia, będą ścisle stosowane normy i przepisy Ustawy akcyzowej rosyjskiej.

Prezydent m. Lublina

Edward Kołaczkowski.

m. Lublin, 8 Września 1915 r.

SKŁADAJMY OFIARY

NA LEGIONY.